

Transteizm - o duchowości ponad bogami

Kilka dni temu dowiedziałam się z Internetu, że jako osoba niewierząca nie posiadam duchowości. Stropiłam się. Przez całe życie żyję w błogim przeświadczeniu, że postawiłam na szlifowanie duchowości właśnie, a tu masz babo placebo. "Czy jest coś takiego, jak 'duchowość ateistów'?", zastanawiają się internauci na portalu wiara.pl. "Jeśli rozwój duchowy zakłada istnienie 'ducha', a ateści ducha nie mają, to nie ma się co w nich rozwijać, pytanie więc o rozwój duchowy ateisty jest pytaniem o coś, czego nie ma", klaruje jeden z dyskutantów. Niektórzy mu przytakują, inni przytaczają definicje duchowości niekoniecznie łączące duchowość z Bogiem. Jednak tzw. opinia ulicy jest jednoznaczna, bez Boga nie ma duchowości.

Postanowiłam złapać byka za rogi i zawalczyć o swoją duchowość. Wiem, "ulicy" nie przekonam, ale posprzątam trochę w pojęciach i przemieszam w hierarchii wartościowania duchowości z Bogiem i duchowości bez Boga. I tym samym zakłócę nieco stan samozadowolenia tych, którzy uważają, że wierzący ma duchowość niejako z automatu, a niewierzący bezdusznym automatem jest.

"Jak ateista przeżywa rozwój duchowy to zaczyna wierzyć", przekonują jedni, "wieloletni ateista to taki człowiek, który już nawet nie pamięta jak to jest wierzyć", kombinują drudzy. Trzeci zaś uważają, że niewierzący nie dostał łaski wiary. Jest więc biedny, bo ułomny. Ja jednak przez pierwsze lata mojego życia łaską wiary najwyraźniej się cieszyłam, bo wierzyłam w Pana Jezuska, Pannę Maryję, świętego Mikołaja i w ogóle wszystkich świętych, wierzyłam w Dobre i Złe Wróżki, Pinokia, Fizję Pończoszanek i Małą Księżniczkę... Jednym słowem jakiś czas u początków życia nie umiałam zweryfikować, które z otaczających mnie postaci są prawdziwe, a które fikcyjne (i przyznać muszę, w świętego Mikołaja wierzyłam najgoręcej).

Ale że dobry los złożył mi do kołyski również łaskę ciekawości świata, głodu wiedzy, przyjemności z kojarzenia faktów, łaskę dociekliwości i umiłowanie książek oraz szczęśliwie dołożył dom rodzinny, w którym rozwijałam się bez przeszkód w kierunku rozumnego pojmowania zjawisk i ich racjonalnego weryfikowania, więc w wieku kilku lat moja dziecięco-naiwna "łaska wiary" zaczęła zanikać ustępując łasce rozróżniania tego, co jest rzeczywistością, a co fantazją. W wieku około 14 lat, czyli wtedy, gdy młody człowiek zaczyna samodzielnie myśleć, wiarę w bogów włożyłam definitywnie między bajki. Nie znaczy to, że nie lubię bajek. Wręcz przeciwnie. Uwielbiam. Bajki, baśnie, mity, legendy, gawędy i podania ludowe, fantazje literackie, w tym literatura science-fiction czy fantasy, jeśli tylko jest - jak na moje wymagania - dobrze napisana, towarzyszą mi całe życie.

Piszę wiarę w "bogów" (najróżniejszych), a nie wiarę w "Boga" ("naszego", chrześcijańskiego), bo czy to Zeus, czy Quetzalcoatl, czy Allah, czy "nasz" Bóg, świat zaludniony bogami jest światem historycznym a wiara w bogów w świecie współczesnym jest reliktem. Owszem, trzeba przyznać, ciągle jeszcze bardzo powszechnym, ale reliktem, jak reliktem była wiara w to, że Ziemia jest środkiem wszechświata i to powszechnym długo jeszcze po ukazaniu się dzieła Kopernika (na co bardziej zatwardziały uniwersytetach i 300 lat po Koperniku nauczano, że żyjemy w systemie geocentrycznym). I w tym sensie chciałabym się tu określić nie tyle jak ateistka, ile jako transteistka, bo ateista stoi w opozycji do bogów (Boga), a ja jestem — historycznie rzecz biorąc — ponad wiarę w Boga tak jak jestem ponad wiarę w Zeusa czy Quetzalcoatla, czego, czytając mity greckie czy mity Indian prekolumbijskich, nie muszę przecież za każdym razem pokreślać, jako że światy te wraz z ich bogami bezdyskusyjnie należą do przeszłości.

Pamiętam doskonale, kiedy i w jakich okolicznościach sformułowałam swój "transteizm". Było to 2 czy 3 marca 1991 roku, wtedy, gdy świat obiegła wiadomość o śmierci Serge'a Gainsbourga. Kiedy z moimi szwajcarskimi znajomymi roztrząsaliśmy ten smutny fakt — od 1976 roku mieszkalam w Szwajcarii — wyszło, że nie wierzę w nieśmiertelność duszy i wtedy ktoś zapytał zaskoczony, czy oznacza to, że jestem ateistką, ja, Polka, przedstawicielka narodu, z którego pochodził przecież aktualny papież? "Nie tyle jestem a-teistką, ile trans-teistką, jeśli w ogóle muszę jakoś określić swój stosunek do bogów", odpowiedziałam, "określenie 'ateista' ustawia mnie w opozycji do czegoś, czego nie ma w rzeczywistości, ale jest w fantazji, a jak tu być w opozycji do postaci

fikcyjnych?" Rozgorzała gorąca dyskusja.

Musiałam więc jeszcze do-wyjaśnić, że nie jestem w opozycji do fantazji ludzkiej, że wyobraźnię jako najmniej ograniczony instrument poznania uważam za najbardziej fantastyczny wynalazek natury, tyle że wyobrażenia o rzeczywistości, w miarę jak człowiek wynajduje dokładniejsze narzędzia poznania, trzeba weryfikować i lokować, gdzie ich miejsce, żeby nie było pomieszania z poplątaniem. Tak więc pełen bogów Olimp od dawna jest pusty, choć bogowie ci nadal żyją w literaturze, sztuce, mowie, krótko mówiąc są wszechobecni w kulturze i wcale nie jestem wobec nich "a-". Skądże znowu, jako człowiek orientujący się w kulturze poczytuję sobie obcowanie z nimi na plus.

"No, dobrze, ale polski papież...? Polacy jako naród głęboko wierzący...? Kraj pełnych kościołów...?" — "Hm, kiedyś, z perspektywy czasu papież-Polak może okazać się kolejną historyczną katastrofą dla Polski, jak rozbiory i wojny światowe, bo cofnie Polskę w rozwoju...", powiedziałam coś, co głosiłam od początku pontyfikatu Jana Pawła II. Tu jeszcze raz podkreślę, że głosiłam to w Szwajcarii, toteż nikt się tym nie obruszał, dyskusja toczyła się aż miło i choć żal nam było, że Serge Gainsbourg nie żyje, pocieszaliśmy się, że przynajmniej żył. I to jak! Dzieło, duch Serge'a Gainsburga żyje nadal i zapewne jeszcze długo pożyje, choć dusza odeszła razem z ciałem.

Tu ktoś wierzący w nieśmiertelność duszy może mnie zapytać, skąd ja to wiem, skoro on wierzy w coś wręcz przeciwnego. Ano, w wyniku stałej dbałości o rozwój duchowy, umiejętności kojarzenia faktów oraz nieustannego dostarczania duchowi stawy duchowej w postaci zaznajamiania się na bieżąco z publikacjami najtęższych umysłów świata z równoczesnym niezaniechaniem czytania dzieł historycznych, w tym, oczywiście, także Biblii, która, jako klasyka literatury, stoi sobie w mojej bibliotece na poczesnym miejscu obok Iliady i Odysei, Eneidy i Boskiej Komedii, Wyznań świętego Augustyna, Podróży Guliwera, dzieł Szekspira, Dostojewskiego itd. itp. i jest z taką samą estymą czytana, jak inne dzieła ludzkiej wyobraźni. Ale nie większą.

Ostatnio trafiła tam także drobna w porównaniu z Biblią Księga Mormona (podtytuł dużymi literami: "Jeszcze Jedno Świadcтво o Jezusie Chrystusie"), gdyż zaczepiona na Plantach przez misjonarzy-mormonów — od jakiegoś czasu mieszkam znowu w Krakowie — postanowiłam zapoznać się bliżej z tym mało mi znanym odłamek chrześcijaństwa. Chłopcy są bardzo mili, dobrze wychowani, nienachalni, mają poczucie humoru, nie tylko nie piją alkoholu, ale herbaty i kawy także nie (i rzeczywiście, jak się zdaje, przestrzegają tego), wyznają kreacjonizm, wierzą w odkupienie świata przez Chrystusa i w to, że ich księga została w drodze objawienia przetłumaczona z języka ich przodków, ludu Nefiego i Lamanitów, przez ich proroka, Josepha Smitha, Jr. Wydano ją po raz pierwszy w 1830 roku — mormoni odrzucają powszechny w chrześcijaństwie dogmat mówiący, że Bóg, po tym jak w starożytności zamknięto spisywanie Biblii, przestał zsyłać na ziemię proroków i nie dyktował już nikomu dalszego ciągu. No, i fajnie. Wysłuchałam i teraz wiem nieco więcej o świecie.

Do mojej biblioteki dołączyło też ostatnio bardzo grube tomiszczce pod złowieszczym tytułem "Leksykon współczesnych zagrożeń duchowych" autorstwa księdza Andrzeja Zwolińskiego (wyd. WAM, Kraków 2009). Na okładce wąż (kusiciel... sss...). I już we wstępie czytam: "Umacnia się przekonanie, że naiwna wiara w postęp, naukę, rozum, oświecenie i nowoczesność dobiega końca. Rodzi się więc trudne pytanie o najbliższą przyszłość. /.../ Chrześcijaństwo jest religią szczególnie skierowaną ku przyszłości — oczekuje nadejścia Chrystusa, który jednak niewiele objawił z tego, co dotyczy przyszłości świata i Kościoła. Wierzącym mają wystarczyć podstawowe prawdy: Kościół będzie trwał...". No, no, 'naiwna wiara w rozum'...? Czyżby ktoś tu postulował wyższość rozwoju wstecznego nad postępem? — pomyślałam i oddałam się lekturze.

Wśród ogromnej ilości haseł trafiam na mormonów. Zajrzyjmy. Opis, opis, opis i konkluzja: "*Chociaż mormoni traktują siebie jako wspólnotę, która kontynuuje dzieło Kościoła założonego przez Chrystusa w Ameryce, nie ma ona wiele wspólnego z chrześcijaństwem. Obrzędy ich są w istocie rytuałami masońsko-satanistycznymi. Mormoni pozostają w zdecydowanej opozycji do Kościoła Katolickiego, a ich powoływanie się na Biblię, Chrystusa i Kościół jest zwykłą manipulacją. Wyznają bowiem synkretyczną mieszaninę magii, spirytyzmu i chrześcijaństwa...*". ...Hm, nawet niezbyt uważnego czytelnika musi uderzyć fakt, że przecież mormoni żyją w Bogu zupełnie tak samo jak

katolicy i na dodatek czego jest to ten sam Bóg. Więc dlaczego znaleźli się wśród "zagrożeń duchowych"?

Trochę mi to przypomina postawę biskupa krakowskiej katedry na Wawelu, który kazał odgrodzić płotkiem miejsce na wawelskim dziedzińcu, gdzie ludzie przychodzili, by "naładować się energią" wawelskiego czakramu, i uniemożliwił wystawanie w tamtym miejscu, bo uznał, że oddają się zabronionej przez Kościół magii, a zupełnie mu nie przeszkadza, że dwa mury dalej, w katedrze, pod relikwiami królowej Jadwigi, ludzie całymi tabunami modlą się o cuda i jest to dokładnie taka sama wiara w magię i legendy, jak ta w moc czakramu. Coś mi się wydaje, że jest to przykład myślenia translogicznego, które tak zachwala Ken Wilber w książce "Małżeństwo rozumu z duszą. Integracja nauki z religią", mnie jednak mało przekonuje. A naprawdę i tak chodzi po prostu o to, kto tu rządzi. Wawelski prałat nie mógł ścierpieć konkurencyjnych czarów w swoim rewirze, ot, co. Na tej samej zasadzie brodaci uduchowieni Talibowie zniszczyli zabytkowe posągi Buddy w Bamianie, bogowie nie tolerują konkurencji... "nie będziesz miał cudzych bogów..."...

Wstępne zapoznanie się z kompendium "współczesnych zagrożeń duchowych" gdzie wszystko wymieszane jest ze wszystkim, bo mamy tu i gry komputerowe, i wschodnie sztuki walki, i UFO, i Harry Pottera, i wolnomyślicielstwo, i, oczywiście, ateizm (choć "Bóg kocha ateistów także", czytam) przypomniało mi wspomnienia fizyka-ateisty Leopolda Infelda [1], krakowianina-Żyda: *"Jeżeli nakazy żydowskiej religii brać dosłownie, to grzechem jest oddychanie bez równoczesnej kontemplacji wielkości jedyne Boga..."*. Infeld opisuje swoje stopniowe odchodzenie od religii. Opisuje także względnie nowoczesną religijność swoich rodziców w religijnym społeczeństwie krakowskiego Kazimierza końca XIX wieku, co nie było niczym innym, jak postępującym procesem emancypacji od ortodoksyjnych wymogów wiary. Matka — jako pierwsza w swojej rodzinie — odmówiła noszenia peruki po ślubie, ojciec zaś — jako pierwszy w swojej z kolei rodzinie — *"nosił strój europejski, a nie jedwabny chałat i czapkę z trzynastoma ogonkami noszoną przez nabożnych Żydów w sobotę"*.

Jednak gdy wyrostek-Leopold przestał odmawiać rytualne modlitwy, bo go nudziły, ojciec zaserwował mu lanie życia. Nie zawróciło to jednak krnąbrnego chłopca na drogę wiary: *"Jako dziecko wyobrażałem sobie Pana Boga jako olbrzymiego Żyda z dużą srebrną brodą, który patrzy na wszystko zza chmur. Ale gdy ten naiwny i dziecięcy obraz zniknął, nic nie zajęło jego miejsca."* Tak właśnie wyrasta się z wiary. I indywidualnie, i jako społeczeństwo. Stopniowo. Najpierw pewne powierzchowne nakazy stają się nieistotne (peruka, chałat...), a zamanifestowanie tego może dać przyjemne poczucie bycia na czasie. Potem rewiduje się również te poważniejsze wymogi religii, bo zaczyna się dostrzegać ich absurdy.

I tak ja w wieku 15 lat zagoniona przez siostry urszulanki poszłam do mojej ostatniej świętej spowiedzi w życiu i — z premedytacją — zamarkowałam spowiadanie się, bo już wtedy uznałam to za nienormalne, żebym ja, dorastająca dziewczyna, miała szeptać jakiemuś obcemu facetowi do ucha, jakie myśli mi chodzą po głowie. Bo że chodziły, to jasne. Od tego jednak miałam światłą mamę żeby z nią sobie rozmawiać na te tematy, gdy i jak chciałam, ale z jakimś nieznanym mi mężczyzną, usta-ucho? W leksykonie zagrożeń duchowych czytam wprawdzie, że *"bardzo trudno jest określić zakres i wielkość nadużyć seksualnych, do których dochodzi w sektach i nowych ruchach religijnych"*, więc niby Kościoła to nie dotyczy, coś mi jednak już wtedy mówiło, że i Kościół nie jest wolny od takich nadużyć, jako że niejeden spowiednik dziwnie natarczywie drążył temat "nieczystych myśli". Inna sprawa, do jakich nadużyć Kościół zdolny jest naprawdę, do głowy by mi nawet nie przyszło, autorowi listy zagrożeń duchowych widocznie też nie, bo o tym ani mrumru (dziś uważam, że już wydobywanie z zawstydzonych dzieci ich najskrytszych myśli przez księży-celibatników jest wysoce niemoralne i szkodliwe dla młodej psychiki).

Co ciekawe, autor "Leksykonu..." nie zauważył też, mimo ostrzeżeń przed widmem ateizmu, że światopogląd ten rozwija się nader dynamicznie i że ma takich światowych apologetów jak Richard Dawkins, Michel Onfray, Daniel C. Dennett i wielu innych z nurtu tzw. neoateizmu. Nie spostrzegł, że neoateiści wydobyli z mroku niepamięci wielkich prekursorów myśli ateistycznej, portugalskiego jezuitę Cristovao Ferreirę z XVII wieku i francuskiego proboszcza Jean Mesliera z przełomu XVII i XVIII wieku, i nie przestrzega przed nimi. Nie uświadczysz ich na indeksie nazwisk. Dowodzi to tylko tego, że Kościół nawet w swojej własnej sprawie nie aktualizuje swojej wiedzy. Cóż, jeszcze trochę i ocknie się z ręką w nocniku.

Tym bardziej przyjrzyjmy się my owym zapomnianym sługom Kościoła. Cristovao Ferreira i Jean Meslier, zakonnik i ksiądz. Obaj znali się na rzeczy jak mało kto. Obaj zanegowali prawdy Kościoła. Ktoś zapyta dlaczego na niezliczone rzesze księży i zakonników tylko oni dwaj? Bo rozwinęli się duchowo ponad przeciętność i mieli odwagę zobaczyć zastaną rzeczywistość taką jaka jest a nie jak im kazano! Ferreira na 30 stronach swojego "Szalbiarstwa ujawnionego" podsumował całe nasze chrześcijaństwo jak następuje: *"Bóg nie stworzył świata; zresztą świat nie został stworzony; dusza jest śmiertelna; nie ma raju, piekła ani predestynacji; martwe niemowlęta są wolne od grzechu pierwotnego, skądinąd nieistniejącego; chrześcijaństwo to czczy wymysł; odpusty, ekskomunika, posty, dziewictwo Maryi, trzej królowie, wszystko to brednie; zmartwychwstanie jest skandalicznym, absurdalnym, grubymi nićmi szytym oszustwem; sakramenty i spowiedź to niedorzeczność; eucharystia, zwykła metafora; sąd ostateczny — niebywała aberracja..."* (wg Onfraya).

Zaś skromny wiejski proboszcz Jean Meslier przez całe swoje życie sumiennie wypełniając obowiązki duszpasterza (wiedział, że tylko w ten sposób może pomagać wiernym swojej gminy nie narażając ich i siebie na represje ze strony panujących panów i wspierających ich władz kościelnych) formułował równocześnie radykalną krytykę wiary chrześcijańskiej. W opublikowanym pośmiertnie "Testamencie" zajął wobec panujących tego świata, panów świeckich i duchownych, jednoznaczne stanowisko, oskarżył ich o wyzyskiwanie najbiedniejszych przy pomocy najperfidniejszego z instrumentów, wiary. Wiary we wszechmogącego Boga, zaświaty, kary, winy i czcze obietnice pośmiertnych nagród. Skrytykował chrześcijańskie cierpiętnictwo i podwójną moralność... Filozofowie Oświecenia brali go sobie za przykład. I słusznie, był ponad wiarę w Boga.

Niespełna trzy wieki później, w roku 1982, niemiecko-argentyńska pisarka-eseistka Esther Vilar w reakcji na medialną popularność polskiego papieża napisała niewielką rozprawkę o rewolucyjnej treści, "Mowę intronizacyjną amerykańskiej papieżycy". Szczęśliwie mogłam ją sobie przeczytać w oryginale zaraz po ukazaniu się i — jako sztukę teatralną — zobaczyć światową premierę na deskach teatru zuryskiego już w 1984 roku. Bo do Polski trafiła z prawie dwudziestoletnim poślizgiem. Papieżycę zagrała Joanna Trzepiecińska, widziałam i tę inscenizację. Ale, co zastanawiające, krytyki polskie i niepolskie różniły się między sobą zasadniczo. W Polsce pisano, że sztuka jest pozornie obrazoburcza, bo tak naprawdę autorka martwi się o przyszłość Kościoła Katolickiego... Czyżby? Spójrzmy.

Oto próbka tekstu (w moim tłumaczeniu): *"Wyobraźmy sobie, że faktycznie żył w tamtych czasach pewien młody mężczyzna, który wszystko to (całe zło tego świata) chciał zmienić. Mężczyzna, który nie Boga ponad wszystko, ale ludzi sobie ukochał, i chciał im pomóc raz na zawsze żyć ze sobą w pokoju. Czy człowiek ten, jeśli chciał osiągnąć swój cel, nie powinien był robić dokładnie tego, co zdaje wam się tak bardzo nie do pomyślenia? /.../ Dużo rozmyślałam o tym waszym Chrystusie. I dochodzę do wniosku, że musiał być ateistą albo przynajmniej agnastykiem. Nikt inny nie ośmieliłby się podawać za syna bożego — za bardzo by się bał zemsty Boga".*

Tekst jest obrazoburczy! Taki właśnie ma być! Esther Vilar sięgając po prowokację pokazuje prawdziwy mechanizm wiary. I proszę, nie o Boga, nie o ducha, nie o duchowość w Bogu tu chodzi, a o jasne, proste i niezmiennie wytyczne podane w odpowiednio spektakularnej formie. Mówiąc językiem współczesnym: chodzi o show. Oraz o zwolnienie ludzi z ciężaru odpowiedzialności za własne życie po to, by można było nimi łatwiej rządzić, ale też by odciążyć ich od zbyt ciężkiej do udźwignięcia wolności. W razie gdyby ktoś chciał mi zarzucić, że to ja przeinterpretowuję, dodam, że poznałam autorkę "Amerykańskiej papieżycy" osobiście i że potwierdziła moją interpretację. Zresztą inna interpretacja pozbawiłaby tekst jego prawdziwego przesłania a więc sensu.

Fikcyjna papież Joanna II z niedalekiej przyszłości jest papieżem głęboko niewierzącym. Stoi ponad wszelkimi wierzeniami. Rozumie tylko, czego wierni Kościoła oczekują od papieskiej funkcji i dla ich dobra postanawia się poświęcić. L'abbé Meslier właśnie tak postąpił wobec swoich parafian. I wcale bym się nie zdziwiła, gdyby historia kryła więcej takich "wierzących". Że nie wspomnę o tych, którzy po prostu dla władzy, korzyści materialnych lub innych sobie tylko znanych powodów zostawali lub pozostawali duchownymi. Duchownymi a-teistami, trans-teistami.

Nie wiadomo dokładnie, czy legenda wędrującego po świecie "syna bożego" powstała z kompilacji przekazów z życia kilku osób przemieszanych z wątkami mitów już krążących a potem doprawianych — tak w dobrej jak i w złej wierze — przez kolejnych majsterkujących przy niej dopisywaczy, czy faktycznie ziemia nosiła jakiegoś jednego człowieka, który stał się zalążkiem legendy. A może jest to czysta fikcja i nie kryje się za nią żaden żywy człowiek? Może na przykład wędrujący do Damaszku mężczyzna o imieniu Szaweł vel Paweł, postać historyczna, nie wiadomo dlaczego wyдумаł sobie to wszystko? A może wiadomo dlaczego? Olśniło go, że jest to pod wieloma względami bardzo przydatna do różnych ziemskich celów legenda!...

Nie wiadomo, bo jak tu dociec?... Po pierwsze przez prawie wszystkie wieki tworzenia się chrześcijaństwa nie było archeologii jako takiej a po drugie gdy wreszcie się dwa wieki temu narodziła, ciągle jeszcze nie do pomyslenia było badanie biblijnych zapisów uchodzących za objawienie boskie, czyli nie podlegające kwestii, metodami naukowymi. I ich weryfikowanie. Po trzecie chrześcijaństwo zaprzężone do celów politycznych z prześladowanej początkowo sekty stało się instrumentem władzy i odtąd podlegało prawom, jakie rządzą polityką, a tu, jak wiadomo, trudno rozdzielić, co jest prawdą a co propagandą, nawet jeśli jest to krótki okres czasu, a co dopiero dwa tysiące lat motania i zaciemniania. My przecież po ledwie czterdziestu latach nie jesteśmy w stanie dociec, czy Lech był Bolkiem, czy był wieloma Bolkami, a może jakieś Bolki chcą Lecha zrobić w Bolka?... A co dopiero po dwóch tysiącach lat pracowitego gmatwania faktów i przeplatania ich z mitami.

Paradoksalnie więc istnienie Jezusa jest o wiele mniej pewne, niż na przykład Mojżesza, postaci biblijnej, którego życie przypadałoby na XIII wiek przed Chrystusem i raz opisane już się niewiele w swoim (ufantastycznym) zapisie zmieniało. Załóżmy więc, że żył naprawdę. Był człowiekiem wykształconym, mądrym i władcym, równym faraonom. Jeśli więc chciał dokonać tego, co mu Biblia przypisuje, czyli poprowadzić w miarę karnie kilka tysięcy Żydów z Egiptu do "ziemi obiecanej", to zaprowadzenie "prawa bożego" byłoby bardzo rozsądnym posunięciem. Historia o kamiennych tablicach mogła więc wyglądać faktycznie tak, że Mojżesz wycofał się na (górze) Synaj kuć bez świadków tablice, a jego brat próbował tymczasem ostudzić nastroje niezadowolenia w narodzie. Po czym Mojżesz wrócił z tablicami i opowieściami o spotkaniu Boga. To zdyscyplinowało tłum. Mojżesz nauczył się tej jakże skutecznej taktyki na dworze faraona. Nie tylko, że nie musiał wierzyć w Boga, ale wręcz przeciwnie, sam wiedział najlepiej, że z żadnym Bogiem nie gadał. Parafrazując Esther Vilar powiedziałabym, że Mojżesz "musiał być transteistą albo przynajmniej ateistą".

Duchowość "transteisty", czyli kogoś, kto jest ponad wiarę, czy też poza wiarą w bogów, jest przede wszystkim wolna od mocowania się z bogami. A-teista jeszcze się ustawia w opozycji do Boga, transteiście do niczego to już potrzebne nie jest. Ateista (często jeszcze) neguje święta kościelne, jest antyklerykałem, boi się kościelnych rytuałów, symboli itd. itp. Tymczasem transteista traktuje święta kościelne jako (fajne, barwne, umilające życie) obrządki zgodne z tradycją społeczeństwa, w którym żyje. I tyle. Tylko tyle i aż tyle. Jednym słowem kościelne obrządki są pozostałościami tradycji religijnych, ale nie są równoznaczne z wiarą w Boga. I proszę, coraz więcej jest ludzi, którzy urządzają sobie święta, ale do kościoła już dawno nie chodzą, lub chodzą jeszcze do kościoła, ale już nie wierzą. Bo nie trzeba wierzyć w Światowida, żeby mieć frajdę z puszczania wianków na Wiśle. Nie musi się być wierzącym, żeby brać udział w pochówku w obrządku kościoła katolickiego (lub jakiegoś innego).

I odwrotnie. Nie ma potrzeby zwalczania czakramu wawelskiego tak jak bez sensu byłby zakaz wygrywania hejnału z wieży mariackiej, choć przecież opiera się na legendzie, a nie na prawdzie. Nie obalamy pomnika smoka wawelskiego tylko dlatego, że go nie było, nie zmieniamy nazwy "Smocza Jama" na "Podwawelska Grota" tylko dlatego, że to bujda na resorach z tym smokiem. I w tym właśnie sensie nie jestem antyklerykałem (co niejedną raz podkreślałam). My, ludzie, potrzebujemy swoich wiar, swoich kościołów, swojego rytmu wybijanego niedzielami, świętami kościelnymi, swoich ślubów, pogrzebów itd. itp. A skoro tak, to potrzebni są też kapłani, ludzie, którzy umieją odprawić te obrządki. Sama z ich usług korzystam, a to jestem zaproszona na czyjś ślub, a to biorę udział w czyimś pogrzebie...

Ale tak jak nie jestem przeciwna temu, że ktoś sobie wierzy w co sobie chce wierzyć, zgodnie z zasadą wolności sumienia, tak jestem absolutnie przeciwna temu, żeby jakakolwiek wiara stanowiła o prawie. To już jest

autentycznym anachronizmem. Nie wyobrażamy sobie przecież nastania szariatu w kraju katolickim, prawda? Nie zapraszamy mułłów w turbanach czy szamanów odzianych w ptasie pióra i liście palmowe do dyskusji o nowych prawach w państwie, bo byłoby to niedorzeczne, czyż nie tak? Otóż dla mnie jest równie niedorzeczne, gdy na przykład o prawie do zapłodnienia *in vitro* dyskutuje ksiądz w sutannie. Śmieszne, jeżeli dyskutuje (przecież z góry wiemy, co powie, jakiej retoryki użyje), tragiczne, jeśli faktycznie wpływa na prawo w świeckim, czyli nowoczesnym państwie. Duchowość w Bogu musi pozostawać sprawą prywatną stawiających na nią ludzi.

Rozumiem natomiast, że takie na przykład zaprzysiężenie na prezydenta USA kończy formułka "so God will", czy że prezydent zaczyna prezydenturę uczestniczeniem w mszy świętej. Jest to tradycja tak ważna, że nie sposób jej obejść. Gdyby prezydent USA odstąpił od tego, miałby 90% narodu przeciwko sobie. Kiedyś i to się zmieni, ale dziś jest to jeszcze nie do pomyślenia. To znaczy do pomyślenia jest, odzywają się głosy sprzeciwu. Kiedyś będzie ich na tyle dużo, że masa krytyczna przeważy i "tak mi dopomóż Bóg" stanie się przeżytkiem i będzie nie do pomyślenia. Tak jak dziś nie do pomyślenia jest, żeby prezydent Obama z nosem przebitym puszczem przodka odbył triumfalny uduchowiony taniec wokół świętego drzewa wymachując przy tym dzidą i pohukując. A przecież jego antenaci tak (czy jakoś tak) właśnie robili. I wiecie co? To właśnie rozwój duchowy doprowadził do tego, że takie irracjonalne zachowania zostały w przeszłości. Doprowadzi i do dalszych zmian na lepsze. W to akurat wierzę.